



Michał Krzemkowski

Na parafii w Drui (6)

ciąg dalszy z poprzedniego numeru

Jedziemy drogą, którą wczoraj wracaliśmy...Przejeżdżamy znowu nieopodal Drujska, wzdłuż jeziora Drujka o jaszczurczym kształcie, przez wieś Czerniewo, a później Gawejki. W Słobódce skręcamy na północny zachód, jadąc teraz obok „smoka, nosorożca” - jeziora Pociech, od strony zadu i ogona. Za plecami zostawiamy białą jak śnieg, dumną sylwetkę kościoła Bożej Opatrzności, przed sobą mamy wioskę Gawriławcy z zabytkowymi niemalże chatami drewnianymi. Jedna ze stodół kryta jest drewnianą dachówką. Widok to wyjątkowy wobec wszechobecnego eternitu. Wieś przecina ulica Krasławska, bo biegnie w kierunku łotewskiego miasta Krasław, odległego w prostej linii, w kierunku północnym, o jakieś trzydzieści kilometrów. Przy ulicy obiekt szczególnie - nawet w tak głębokiej, pojeziernej prowincji stoi przy drodze popiersie Lenina (biał. *bjust Lenina*) z kamienia.

Przecinamy rzekę Drujkę, wieś Łuni, potem Leoszki. Teraz jedziemy obok okazałych rozmiarów jeziora Wołos, które na mapie ma równie wymyślną zwierzopodobną postać. Kolejny przykład przedziwnej morfologii. Na upartego dojrzałbym w tym kangura, który jednak, zamiast torby na piersi, ma plecak na grzbiecie.

Droga skręca ostro przy głowie tego „kangura” i biegnie dalej na zachód przez wioski Danki i Szwedy, a potem wygina się gwałtownie na południe przed kolejnym, mniejszym jeziorkiem, o mapowym kształcie, przysięgł-

bym, kraba jakiegoś z licznymi odnóżami. Przecina wieś Kirkole, by wreszcie zrobić prostopadły zwrot na zachód. Chwilę potem dobijamy do jeziora Snudy, powierzchnią porównywalnego do naszego nadmorskiego jeziora Jamno. Tym razem kształt dość regularny, za to wysp całe mrowie. Jedziemy dobry kilometr bardzo blisko brzegu. Widok wspaniały na wielki akwen z zielonymi plamami wysp. Patrzymy na imponujące szerokie łany trzciny i innych szuwarów.

Krasnogorka - mała wioska, skromne domostwa, w oddali ku jezioru widok nieśmiało rozbudowujących się pierwszych dachy, w przeciwną stronę, na górze - cmentarz.

Za kolejną wsią - Zasnudziem, odbijamy od brzegu jeziora, kierując się na Plusy. Malownicza podróż po abstrakcyjnym krajobrazie przydrożnych, rozczochranych, prawie martwych wierzby, drapiących niebo wieloma sterczącymi kikutami, zagarniającymi chmury rozgałęzionymi konarami, we większości uschłymi. Mijamy kolejne już stalowe wieże ciśnień, wieńczone zardzewiałymi już cylindrami - „grzybkami”, których górne płaszczyzny za każdym razem unoszą bocianie gniazda.

To, co uderza, to mnogość



Na zdjęciu: Cerkiew prawosławna w Brastawiu

małych, drewnianych, zszarzałych już od starości drewnianych chatynek. Mieszkają w nich prawie sami staroobrzędowcy. Świadczą o tym małe drewniane sauny stojące obok każdego domostwa.

Wjeżdżamy do wsi Jurany.

- Boże, Stefan, zobacz ile „bań”! - wołam z entuzjazmem.

- A, rzeczywiście! Musimy stanąć.

Zatrzymuje się przy jednej ze skromnych wiejskich łaźni domowych, stojącej najbliżej drogi, nie odgradzonej płotem, przy której można się zatrzymać, nie prowokując do podejrzeń, że chcemy wtargnąć na czyjąś posesję.

Wychodzimy rozprostować kości, a Stefan obchodzi białoruską saunę, jakby poznawał zupełnie nowy jej model.

Może i coś szczególnie interesującego dojrzał, a może jedynie utrwalił dotychczasową wiedzę. Na pewno jednak ściągnął swym zainteresowaniem chłopą, który, ni stąd ni zowąd, przed nim stanął. Kto wie, może taki właśnie był Stefanowy zamiar, by kogoś do spotkania sprowokować, wyciągnąć z opłotków, sprzed okna chaty. Z ludźmi wsi tak jest, zwłaszcza tej tradycyjnej, że pochowani są po kątach, ale gdy tylko na chwilę przystaną pod ich domostwem, to nagle się pojawiają.

Stefan od razu zaczął chłopą zagadywać, czemu się bacznie przysłuchiwałam, i już po chwili ustalił, że on „starowier”, w dodatku Rosjanin. Wyjaśnił Stefanowi po rosyjsku, że w stojącej przed nami bani egzystuje jeszcze kocioł z czasów pierwszej wojny światowej. Technika użytku bani jest taka, że najpierw rozpala się palenisko, rzuca sól na rozgrzane ogniem kamienie i dopiero potem polewa się je wodą. Rosjanin staroobrzędowy wytłumaczył nam, że od czasów cara Piotra I, zwanego Wielkim u starowierców, co sobotę, odbywa się obrzęd rytualnego mycia, poprzedzonego wypoceniem.

Chłop jest bardzo rozmowny, przekomarza się ze Stefanem historycznie i, czego słuchamy ze zdziwieniem, chwali polskie rządy z czasów przedwojennych, twierdząc, że były sprawiedliwe. Pokazuje nam swoje buty, każdy z innej pary, podkreślając, że jest jakoby rozpołowiony, bo jeden but ma od Stalina, drugi od Pił-

sudskiego i śmieje się szeroko, ukazując postrzępione przez czas zęby i szczyrby między nimi.

Kiedy wsiadamy do samochodu, Krzysztof stwierdza zachępcie:

- Stefan, jak ty to, kurczę, robisz, że gdzie nie przystaniesz, to zaraz, jak magnes starowierców przyciągasz?!

- Haha! No, właśnie...Może to Pan Bóg nad wszystkim czuwa?

Choć mi się akurat coś wydaje, że on, jak dobry wędkarz – zawsze wie, gdzie wędkę zarzucić, mimo że postronny się wydaje, że na chybił trafił rzuca.

Wjeżdżamy do Plusów (biał. *Pljusy*). To najdalej na północ położona wieś Brasławszczyzny. Na przydrożnej tablicy informacja, że już tylko 2 km do granicy państwa. W świetle białoruskiej typologii jest to agromiasteczko. Kolejna miejscowość tego charakteru, która ma rąbek polskiej historii. W czasach międzywojnia Plusy należały do II Rzeczypospolitej, przynależąc do województwa nowogródzkiego, a później wileńskiego. Znamienny, mickiewiczowską numerologią tknięty, jest wynik powszechnego spisu ludności z 1921 r., który odnotowuje jedynie 88 mieszkańców, w tym 44 wyznania rzymskokatolickiego, a 44 – mojżeszowego (!). Do dziś omal potroiła się liczba mieszkańców, wśród których dominują Białorusini, a liczna społeczność polska tworzy dziś rzymskokatolicką parafię, koncentrującą się w okazałym kamiennoceglany, dwuwieżowym kościele neogotyckim z początków XX wieku pw. Świętej Trójcy.

Plusy położone są u brzegu kolejnego, wymyślnego w kształtach jeziora, o tej samej co wieś nazwie, którego jedna z części o półksiężycowatym kształcie i postrzępionych brzegach, przypominająca nieco rozwartą paszczę, wyraźnie oddzielona jest od całości wąską cieśniną. Byłby to więc stwór o korpulentnym korpusie, wąskiej szyi i rozdziawionej paszczy. Jakiś kolejny dinozaur brasławski najpewniej. Nie trzeba dodawać, że ta osobliwa morfologia urozmaiconą jest także różnymi głębokimi zatoczkami, półwyspami i wyspami, wypełniającymi akwen, jak rodzynki wypełniają ciasto.

Przecina wieś, niczym oś, ulica Centralna. Nie ma tu wprawdzie ulicy Lenina, jednakże jest jego niewielki postument u zjazdu z Centralnej w niewielką uliczkę, biegnąca ku jezioru, przy

której mieści się kościół.

- Lenin zaprasza nas do kościoła – żartuje Krzysztof.

Kościół jest starannie odnowiony i prezentuje się wdzięcznie na tle żółtych chat i zieleni łąki. Zdobi go od przodu dwuwieżowa fasada, a zamyka z tyłu trapezowa absyda. Ściany budują wieloboczne granitowe kostki ujęte w ceglane filary i gzymsy.

My jednak szukamy molenny. Kogo o to zapytać, jak nie kobietę w chuście na głowie. Zapytana, długo patrzy na Krzysztofa, którego twarz zdobi bujna broda, wreszcie niepewnie dopytuje: „A wy, może batiuszku wiezietie?”. Stefan się delikatnie „zahahał” i odpowiedział, że jest naukowcem i pisze doktorat o prawosławiu staroobrzędowym, na co kobieta kiwnęła głową, jakoby zrozumiawszy i wskazała nam drogę.

Za drewnianą, niezbyt okazałą świątynią, pnie się po wzgórku starowierski cmentarz. Skromne nagrobki, ale kolorowo od bukietów sztucznych kwiatów. Przechodzimy koło cmentarnego śmietnika. Stefan wypatruje trójramienny drewniany krzyż prawosławny, lekko już obrosły mchem. To tymczasowy krzyż postawiony



Na zdjęciu: Panorama widziana z wieży widokowej

na grobie przy pogrzebie, a po ustawieniu nagrobka wyrzucony, jak kilka innych, identycznych, leżących obok. Ten jest w najlepszym stanie. Stefan postanawia go zabrać. Jest to moment historyczny, bo krzyż ten trafi później do Bydgoszczy i zawiśnie na lata na ścianie gabinetu Stefana w siedzibie Wydawnictwa „Świadectwo”. Mocujemy go sznurkami do stelaża багажника.



Na zdjęciu: Chaszczce w Bułowiskach

Wracamy do centrum Plusów, już z krzyżem na dachu. Tam, poprzecznie od ulicy Centralnej odbiega na zachód ulica Brasławka, która w zgodzie z nazwą prowadzi do drogi powiatowej, a ta z kolei do Brasławia. My jednak tamtędy nie pojedziemy, lecz wracamy do jeziora Snudy, skręcając w Juranach nie z powrotem do Zasnudzia, ale kierując się na południowy zachód.

Dobijamy do jeziora i jedziemy wzdłuż jego zachodniego brzegu, mając ciągle na widoku wodny bezkres. Po drodze kolejne, niewielkie wioski – Krzywosielce, Gliniszki, Koloniszki, Łuksze, Jakubańce, wreszcie Bułowiszki. Tam musimy się zatrzymać, bo jest molenna. A jak molenna, to rozmowa z chłopem. Tym razem chłop jest przy pracy, z widłami w ręku. Stefan rozmawia, my patrzymy. Dwie kobiety pędzą drogą stado krów, a linia elektryczna między słupami ugina się od szeregów szpaków, naradzających się przed „skokiem” na kolejny sad.

W Bułowiskach, gdzie droga powiatowa odchyła się od jeziora, my zjeżdżamy w drogę podrzędną, która wiedzie nas na południowy kres jeziora. Ten kres to w istocie długi półwysp dzielący właściwie jeden akwen na dwa jeziora złączone ze sobą wąską cieśniną. Ten przesmyk łączy położone na północy jezioro Snudy z położonym na południu jeziorem Strusto. Razem mają 35 ha powierzchni i są porównywalne wielkością z piątym co do wielkości jeziorem w Polsce – położonym niedaleko Szczecina jeziorem Miedwie.

Skręcamy z asfaltu w drogę szutrową i wjeżdżamy na wyniesioną 174 m n.p.m górę Majak, położoną u nasady tego podłużnego półwyspu. Dojeżdżamy do podnóża wzgórza, nagiego od drzew, porośniętego skąpo trawą. Dalej po schodach w górę. Na szczycie niewielka, kilkunastometrowa wieża widokowa z granitowych kamieni. Korona wieży obwiedziona jest balustradą z drewnianych bali.

O, jakież przepiękny widok mamy przed sobą! Po jednej stronie bezmiar jeziora Snudy, po drugiej ogrom jeziora Strusto, a my, pośrodku, między nimi. „Postrzępione” tafle wód, upstrzone licznymi wyspami, różnymi odcieniami zieleni, żółci, falujące na wietrze łany trzcin i tataraków, połacie leśne, kępy drzew, zarośli, bagienka, kolorowe od kwiatów łąki. Krajobraz zachwycający.

Wypogodziło się już na dobre. Niebo, choć nie odsłania słońca, pokryte jest białymi kłębam cumulusów. Droga polna zawijaszem spada do brzegu jeziora. Zbiegamy ku zatoczce z piaszczystą plażą. Nikogo nie ma, należy teraz tylko do nas. Do kąpieli stają jak zawsze Stefan i ja, Lew i Kruk, brat Gryf, który stwierdza, że „woda jest zimna, jakby dopiero co wytopiła się z lodowca”, jedynie nam kibicuje.

To pierwsza nasza kąpiel od trzech dni, są więc duże emocje. Dno szybko opada, parę metrów od brzegu i głęboka toń. Zupełnie inne, jakże odmienne doświadczenie niż w Naroczy, gdzie na głębię trzeba było iść daleko, daleko, nie dochodząc do niej jednak nigdy, a woda była ciepła jak w basenie. Rzucam się w tę czeluść pazernie, nura dając ostro w dół i wypływając z rozkoszą na powierzchnię. Stefan nieco ostrożnie, ale ośmielony przeze mnie, robi żabką kółko kilkanaście metrów od brzegu.

Potem zasiadamy do biwaku, starannie osuszeni ręcznikiem, bo słońce na pewno nas dziś nie ogrzeje. Nasze panie wyjmują z samochodu kocyk i koszyk ze specjałami. Sentymentalnie jest.

Od jeziora Snudy na północy zaczyna się kompleks jezior brasławskich Pojezierza Brasławskiego, które od południa zamyka największe z nich – Drywiaty. Tę grupę ponad trzydziestu jezior nazwałem sobie Krainą Jezior Brasławskich. Na południe od Snud rozpościera się Strusto,

dalej mniejsze Wojso i Bolojso, wreszcie jeziora Brasławia: Bereże i połączone z nim jezioro Swjatco, Nowjaty i wspomniany kolos Drywiaty. Kompleks domykają od zachodu jezioro Buża, a od wschodu jeziora: Wołos i Niedrawa, z którego brzegiem dotknęliśmy się w Słobódce, a od nich na południe Nieśpiz i Cno. Wszystkie te jeziora mają bardzo skomplikowane kształty, we większości łączą się ze sobą wąskimi cieśninami i rozlewają na brasławskiej równinie jak dziury w szwajcarskim serze. Jest jeszcze obok tych wielkich mrowie jezior mniejszych i małych, a łąd krąży pośród tych plam wody, jak strugi wody rozlewające się na piasku, jak kręte uliczki pośród skupisk domów, jak ślepe zaułki.

Gigant Drywiaty ma zasadniczo dość regularny kształt, jak nasze Śniardwy, lecz w kierunku wschodnim przechodzi wąskim przesmykiem w swoją mniejszą, jakby doczepioną część, jak przedsiónek do wielkiego salonu. Z tej mniejszej części wychodzi wąskie, rynnowe, wyglądające jak pepowina, jezioro-rzeka Drujka, zaczynająca tutaj swój bieg na północ, wpadająca w Druń do Dźwiny, na którą nanizane jest niewielkie jezioro Cno, łączące się dalej przez tę „pepowinę” z jeziorem Nieśpiz.

I tak, malowniczo, na północnym brzegu Drywiatów, ograniczony od północy jeziorem Bereże i Swjatco, sięgając na wschód niemal do jeziora Cno i okalając jezioro Nowiaty, rozłożony jest Brasław.

Dotrzemy tam, jadąc dobre pięć kilometrów wzdłuż północnego i zachodniego brzegu imponującego jeziora Strusto, z ogromną wyspą Czajczyn na samym jego środku. Mijamy małe wsie – Dudali, Czerniszki, kurort Strusto, potem Pantelejki. Droga gdzieś podchodzi pod brzeg na 10-20 metrów. Ocieramy się niemalże o wschodnie rubieże jezior Elna, a potem Swjatco i ulicą Dzierżyńskiego (sic!) wjeżdżamy do Brasławia.

To już jest powaga, miasto dziewięćdziesiąt tysięcy. Osadzone między jeziorami Drywiaty i Bereże, swoją północną rubieżą opiera się o brzeg jeziora Swjatce, wschodnimi krańcami dopycha się do skrajów jeziora Nieśpiz, a południowo-wschodnią macką sięga jeziora Cno. Pochłania także swoim rozczłonkowanym, amebowatym terytorium niewielkie jezioro Nowiaty, wokół którego położone są jego najbardziej znamienite obiekty. To niedaleko od jego południowego brzegu, przy ulicach, a jakże

by inaczej – Lenina i Sowieckiej zlokalizowane są najładniejsze hotele i pensjonaty, banie dla kuracjuszy, sklepy i obiekty gastronomii. Jego nabrzeże dekorują pomosty i bulwary. To nieopodal jego wodnej tafli wyrastają piękne bryły rzymskokatolickiego neogotyckiego kościoła Narodzenia NMP z granitu i cegły, urokliwej popielato-niebieskiej cerkwi Zaśnięcia NMP i monasteru żeńskiego św. Pantelejmona z czerwonej cegły, z dominującą nad całością zabudowań sześcioboczną srebrną wieżą. To nad samym jego brzegiem posadowiony jest budynek biblioteki. Obrastała obiekty zewsząd zieleni drzew, krzewów i łąki trawników i rustykalna architektura kolorowych drewnianych domków.

Niedaleko od brzegu jeziora wznosi się Góra Zamkowa, na której w początku XV wieku zbudowano zamek, będący przeciwwagą dla krzyżackiej twierdzy w Dyneburgu. Prowadzi doń ulica Zamkowa, która, jak na ironię, odbija od ulicy Sowieckiej.

Trzeba na górę koniecznie wejść, bo to najwyższe wzniesienie Brasławia, stamtąd ma się miasto jak na dłoni. Szczyt Góry Zamkowej ma przekrój ogromnej niecki o średnicy przynajmniej stu metrów, otoczonej po obwodzie wieńcem wału ziemnego. Gdy stąpamy

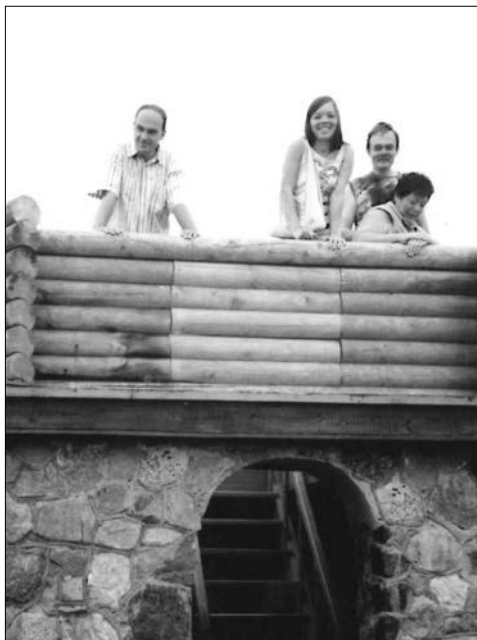


Na zdjęciu: Jezioro Snudy

po wyściełającym go dywanie gęstej trawy, mocno napojonej deszczem ostatnich dni, spod nóg podrywają się nam miliony małych muszek, które musiały się, chyba na dniach, ośmielić wilgocią, masowo wylęgnąć.

Na zachodnim skrzydle wału zamkowego stoi imponujący monument w kształcie obelisku bijącego w niebo z grania-

stosłupa cokołu. Cały jest biały. Wieńczy go na szczycie niewielka latarnia, zasilana kablami elektrycznymi. To pomnik wielce zasłużonego dla Brasławszczyzny lekarza Stanisława Narbutta, któremu Poczta Białorusi po-



Na zdjęciu: Wieża widokowa na Brasławszczyźnie

święciła też pamiątkową kopertę i znaczek pocztowy. Tutaj został, wedle własnego życzenia, pochowany.

W środku niecki wzgórze postawiony jest na schodkowym podwyższeniu spory granit z przytwierdzoną doń tablicą z brązu z herbem miasta, przedstawiającym oko Opatrzności oraz jego nazwą i rokiem założenia 1065. Centralną zakłębłość szczytu Góry Zamkowej „zamieszkuje” także drewniane figury tajemni-

czych bóstw, rycerzy i białogłów starosłowiańskich. Postawiono tam też niewielką scenę letnią z białych cegieł, pokrytą malunkami.

Z tablicy informacyjnej na Górze Zamkowej dowiadujemy się, że Brasław był pierwotnie warownią Księstwa Połockiego. Zamek postawiono na wzgórzu już w czasach Wielkiego Księstwa

Litewskiego. Sto lat od budowy wielka księżna Alena ufundowała w nim monaster prawosławny. Niestety, z tego średniowiecznego zamku nie pozostała do dzisiaj nawet jedna cegła.

Obchodzimy wały zamkowe, jedyną pamiątkę po tej imponującej budowlu. W dole mamy zachwycający widok na liczne, zatopione w zieleni, często przykładnie zadbane domy z białej cegły, niektóre otynkowane, wkomponowane w bezmiar niebieskiego tła jeziora Drywiaty, które ogromem i krajobrazem bardziej przypomina Zatokę Pucką niż jezioro. Przed nami fasada kościoła Narodzenia NMP, nieco dalej widok cerkwi Zaśnięcia NMP, a w oddali, za jeziorem, bieląca się w zieleni lasu sylwetka jakiegoś kościoła, którego ani nazwy ani lokalizacji nie udaje nam się ustalić. Widok na jezioro Nowiaty przesłaniają nieco sosny rosnące po tej stronie wzgórza. Widzimy jednak w oddali komin elektrociepłowni i budynki nowego szpitala. Ten dawny, wybudowany przez Stanisława Narbutta, mieścił się do 1994 r. w budynkach należących obecnie do monasteru żeńskiego, którego wieżę wylaliśmy wzrokiem spośród zieleni i płaszczyn dachów brasławskich chat.

Schodzimy ze wzgórza zamkowego w kierunku Drywiatów. Musimy przejść przez ulicę Lenina. Ale zaraz za nią ułożona równolegle, wzdłuż brzegu jeziora kolejna ulica sowiecka imieniem Gagarina, na świat cały słynnego kosmonauty radzieckiego. To główny trakt miasta, droga krajowa, prowadząca do Głębokiego w jedną stronę i do granicy z Łotwą w drugą, na północny zachód. Wzdłuż niej rozłożyły się szerokie, piaszczyste plaże.

W odróżnieniu od typowo kameralnego, śródmiejskiego jeziora Nowiaty, Drywiaty spełniają rolę niewielkiego morza, dostarczającego kuracjom relaksu kąpieli i opalania się, możliwości gry w piłkę plażową, piknikowania w pełnym słońcu, jak nad Bałtykiem, do którego kraj niemorski, Białoruś, nie ma dostępu. Dziś słońca nie widać, schowało się za grubym płaszczem chmur, więc z radości, że przynajmniej nie pada, korzysta z plaży mniejsza niż zwykle w lecie liczba plażowiczów. My już wcześniej wyplażowani nad Snudami, robimy sobie jedynie spacer bosymi stopami po białym jeziornym piasku. W oddali widzimy rozłożyste dywany szuwarów, mieniące się odcieniami zieleni na niebieskim tle wody.

Relacje polsko-łotewskie w XX wieku

W październiku 1919 roku Rząd Rzeczypospolitej Polskiej uznał powstanie Republiki Łotewskiej.

Wśród części Polaków panowało przekonanie, że granice Rzeczypospolitej powinny objąć terytorium Inflant Polskich z Dyneburgiem, który często określano mianem miasta polskiego o charakterze podobnym do Wilna, aczkolwiek nie posiadającego w przeszłości takiego znaczenia politycznego i kulturalnego dla narodu. Miasto to, nawiasem mówiąc, miało dla Polski poważne znaczenie strategiczne, zwłaszcza w planach obronnych na wypadek najazdu rosyjskiego. Polacy z Łatgalii oraz w mniejszym stopniu z terenu Kurlandii i stołecznej Rygi bali się przynależności do państwa łotewskiego, państwa którego nigdy przedtem nie było. Nie wiedzieli jaka będzie polityka narodowościowa nowych władz, lękali się o nadmiar nacjonalizmu, co jest często spotykane w przypadku małych państw i narodów,

wiekie, powiązane z możliwością wchłonięcia przez umacniające się czerwone imperium zarówno Łotwy, jak i Polski zmuszało do jak najbliższej współpracy. Rozmowy polsko-łotewskie na temat sojuszu wojskowego trwały od lata 1919 r., a w połowie tegoż roku do Warszawy przybyła delegacja z Rygi, której udało się wynegocjować uznanie swego państwa przez rząd Rzeczypospolitej. Jednocześnie desygnowano na stanowisko stałego przedstawiciela RP w Rydze Bronisława Boufałła, publicystę piszącego na tematy bałkańskie i bałtyckie.

W obliczu niebezpieczeństwa ze strony Armii Czerwonej rząd łotewski zaczął zabiegać o zbrojną pomoc Rzeczypospolitej i w tym celu wysłał kolejną delegację do Warszawy, która oprócz starań o wsparcie militarne ze strony Wojska Polskiego, miała dodatkowo wyjaśnić sprawę przynależności państwowej Dyneburga i całych Inflant Polskich. Delegacja łotewska odbyła rozmowy z Leonem Wasilewskim oraz samym naczelnikiem państwa, Józefem Piłsudskim, który mówił dużo o konieczności bliskiej współpracy obu państw, mającej znaczenie decydujące dla istnienia i bezpieczeństwa tak Polski, jak i Łotwy. Strona polska uczyniła pod adresem gości łotewskich miły gest, który w okresie późniejszym wielokrotnie służył za argument przeciwko Piłsudskiemu, a mianowicie zrezygnowała z Dyneburga.

Łotysze poprosili o pomoc militarną.

W styczniu 1920 roku polskie oddziały sforsowały Dźwinę w okolicach Dyneburga i wraz z oddziałami łotewskimi odniosły błyskotliwe zwycięstwo nad Armią Czerwoną. Młoda państwowość łotewska była uratowana.

Związek Polaków na Łotwie był pierwszą organizacją polityczną Polaków, a jej celem była reprezentacja mniejszości polskiej na wyborach do Saimey Łotwy. Najbardziej znane nazwiska związkowców polskich działających w okresie międzywojennym to Jan Wierzbicki – pierwszy poseł polski w parlamencie łotewskim, Jarosław Wilpiszewski, który również został posłem i Stanisława Dowgiałłówna – pierwsza szefowa związku. W

Związek Polaków na Łotwie oficjalnie odnowiono dopiero 14 stycznia 1990 r. Obecnie ZPŁ ma oddziały w Rydze, Dyneburgu, Rzeżycy, Krasławiu, Lucynie, Jēkabpilsie, Lipawie, Jelgawie oraz Jūrmali.

Znaczącą rolę w odnowieniu działalności ZPŁ odegrała Ita Kozakiewicz. W 1989 r. stanęła na czele Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Polaków na Łotwie, zaś w następnym roku przewodniczyła już Związkowi Polaków na Łotwie. Zginęła tragicznie jesienią 1990 r.

Prezesami ZPŁ kolejno byli Robert Seliszka (1991-1992), Maria Szymańska (1992-1993), Maria Kudriawcewa (1993-1998), Tadeusz Ketler (1998-2000) oraz Wanda Krukowska (2000-2012). Od marca 2012 r. Związkiem Polaków na Łotwie kierował Ryszard Stankiewicz, jednocześnie przewodniczący Oddziału „Promień” w Dyneburgu. W 2023 r. prezesem został Pēteris Dzalbe.

W 1991 r. wydano pierwszy numer czasopisma związkowego „Polak na Łotwie”.

W 1998 r. w Dyneburgu powstało samorządowe Centrum Kultury Polskiej na początku kierowane przez śp. Władysława Nowickiego, a obecnie przez Żannę Stankiewicz.

Obecnie w Oddziałach ZPŁ funkcjonuje kilka zespołów i chórów promujących kulturę polską. W Jelgawie działają zespoły wokalne „Stokrotki” i „Słowiczek”, w Jēkabpils zespół wokalny „Rodacy”, w Lipawie zespół wokalny „Bursztyński”, w Krasławiu – „Strumień”, w Lucynie – „Czerwone korale”. W Rzeżycy istnieje chór „Jutrzenka”, a w Dyneburgu – chór „Promień” oraz młodzieżowy Zespół Tańca Ludowego „Kukuleczka”.



Na zdjęciu: Polka z Łotwy.
Fot. Ludwika Adamczyk

okresie międzywojennym Polacy aktywnie działali w samorządach łotewskich m.in. w Dyneburgu, Rzeżycy, Lucynie, Krasławiu, Lipawie czy Rydze. Pierwszy ZPŁ został rozwiązany w 1931 r., w wyniku kontrowersji politycznych. Natomiast już w 1932 r. założono Polskie Zjednoczenie Narodowe. W 1939 r. reaktywowano Związek Polaków w Łotwie, lecz działał tylko do pierwszej okupacji sowieckiej w 1940 r. W okresie, kiedy Łotwa była w składzie ZSRR, nie było możliwości działania dla żadnych organizacji społecznych. Polskość zachowywano w rodzinach, potajemnie organizowano naukę języka polskiego.

Pod koniec lat osiemdziesiątych powstało również Polskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne.



Na zdjęciu: Tablica pamiątkowa żołnierzy AK przed Domem Polskim w Dyneburgu. Fot. Ludwika Adamczyk



Na zdjęciu: Symboliczny Grób Nieznanego Żołnierza z walk 1919-1920 na cmentarzu rzymskokatolickim w Dyneburgu. Fot. Stefan Pastuszewski

rozpoczynających nierzadko od prześladowania mniejszości.

Ziemianie polscy z Łatgalii obawiali się także o to, jaki przebieg będzie miała łotewska reforma rolna, ponieważ w kraju tym, oprócz wielkiej własności ziemskiej, najczęściej polskiej i niemieckiej, istniało zjawisko pokaznego głodu ziemi. Z drugiej strony zagrożenie bolsze-